

„KRONIKA TYGODNIA - Magazyn Zamojski”, 10 maja 1994 r.

MATKA I SYN

Rodzina to podstawowa i najważniejsza komórka społeczna. Tocząca się obecnie dyskusja z okazji, ogłoszonego przez Organizację Narodów Zjednoczonych i Kościół Katolicki, Roku Rodziny, powinna rozwiązać w tym względzie wszelkie wątpliwości.

Jednak dyskusja ta w przeważającej mierze ma charakter moralizatorski. Mówi się, choć wszyscy o tym wiedzą, że rodzina powinna się kochać, szanować, żyć godnie. Nie mówi się, a jeśli już to bardzo mało, jak tego dokonać. Wysłuchanie kolejnych pogadanek czy kazań niewiele tu zmieni. Nadmierne odwoływanie się do sumienia i przez to usztywnianie go, nie jest korzystne ani dla zdrowia psychicznego, cielesnego, ani też dla zdrowia rodziny.

Rodzina to system naczyń połączonych. Każde z nich ma jakieś swoje problemy. Ojcowie często rozwiązują je pijąc alkohol; matki poprzez daną im przez naturę - lekką wymowę; dzieci,

jak są młodsze - mogą się moczyć, być niejadkami, starsze - buntować się, wagarować, odchudzać bez końca. Wszyscy domownicy mogą te swoje problemy przerzucać na innych. Gdy leczy się moczące lub jękające dziecko - to nie wiadomo, czy przyczyna tkwi w nim, czy pijącym ojcu, a może w znerwicowanej matce. Stąd właściwa terapia powinna dotyczyć całej rodziny. Oto relacja pacjentki, przedstawiająca rezultat takiej terapii. Rodzina ta składa się z dwóch osób, matki i syna.

Do pana Stanisława Kwasika zaczęłam chodzić na początku sierpnia 1993 r. Przyznaję, że byłam nastawiona dość sceptycznie, mimo że moja znajoma gorąco mnie zachęcała do skorzystania z prowadzonych przez niego seansów medytacyjnych. Idąc do gabinetu psychotronicznego nie przypuszczałam, że pozbędę się chorób, które od kilku, a nawet kilkunastu lat gnębiły mnie.

W maju 1987 r. dostałam gwałtownego ataku serca. Przez dość długi czas intensywnie się leczyłam. W ciągu ostatnich dwóch lat nie rozstawałam się z lekami, i to dosyć silnymi. Od początku terapii u pana Kwasika nie wzięłam ani jednej tabletki na serce. Moje nerwy stały się na tyle mocne, że nawet silny stres, tak jak dawniej, nie zwała mnie z nóg. W listopadzie 1993 r. byłam na badaniach kontrolnych i lekarka, która mnie leczyła przez prawie 6 lat, była bardzo zdziwiona pracą mojego serca. Na jej pytanie, co się stało, że nastąpiła taka poprawa, odpowiedziałam, że zamieniłam gabinet lekarski na psychotroniczny.

Ale to jest tylko jedna moja choroba. Drugą był wrzód na dwunastnicy, nerwica żołądka, która powodowała, że mój żołądek „chodził do góry, a opadał w dół”. Teraz nie odczuwam żadnych dolegliwości przewodu pokarmowego.

W sierpniu 1993 r. ważyłam 92 kg, w czasie tych paru miesięcy schudłam do 84 kg, bez żadnych wyrzeczeń, bez „tortur”, gimnastyki głodówki i bez żadnych „cudownych” środków odchudzających. Dziś mogę jeść, ile chcę, co chcę, kiedy chcę, i nareszcie nie myślę, że każdy kęs, to zaraz kilogram na wadze. Od zakończenia terapii minęło kilka miesięcy. Wagę mam stałą jedzenie, tak jak kiedyś, nie ma na nią wpływu. Mam świadomość, że jeśli wznowię terapię, to obniżę wagę o dalsze kilogramy. Na razie nie widzę takiej potrzeby, czuję się świetnie.

Korzyść z seansów, w których brałam udział, jest wprost niewymierna w sferze mojego wnętrza. Tego nie da się opowiedzieć w kilku słowach, jak to człowiek nagle czuje się inny, wartościowszy, ładniejszy, pewniejszy siebie, a jednocześnie lepszy.

Mój syn od dziecka był trudny, jako trzylatek przychodził na kolana tylko po to, żeby ugryźć, czy podrapać, z wiekiem robił się jeszcze gorszy. Naprawdę, przez te wszystkie lata szukałam dróg do niego, a jego chodzenie na wagary, arogancja, wrogość, były dla mnie nie do zniesienia. Już po kilku seansach mój syn zmienił się nie do poznania. Mimo że ma 17 lat, lubi się teraz do mnie przytulić, ma większą zdolność koncentracji i uczenia się, a ja czuję dopiero teraz, że mam syna, że jestem mu potrzebna, i że mogę na niego liczyć. Do sierpnia 1993 r., gdy byłam chora, mój syn zawsze znalazł sposób, żeby wyjść z domu na kilka godzin. Dopiero po tej terapii, gdy zdarzyła mi się niedyspozycja, i źle się czułam, mój syn po raz pierwszy w życiu powiedział: „Mamo, to ja nigdzie nie pójdę i zostanę z tobą”.

Istotą mojej odreagowującej terapii jest uwalnianie pacjentów od zalegającej w ich podświadomości, niekiedy nieuświadomianej pamięci przykrych urazów, przeżyć, uczuć, powodujących różne choroby, nerwice, nałogi, kompleksy, zaburzenia osobowości, zachowania społeczne itp. Jest to tak, jakby kogoś, kto nigdy nie widział mydła, wsadzić do wanny i wykąpać. Mówilibyśmy wówczas nie o leczeniu dermatologicznym, ale o higienie ciała. **Moja praca odnosi się, przez analogię, do higieny psychicznej, a nie leczenia psychicznego.**

Higiena psychiczna nie ma nic wspólnego z moralizowaniem, napominaniem, odwoływaniem się do sumienia, tym bardziej, że są to oddziaływania potęgujące poczucie winy, która zawsze na nieuświadomianym poziomie dąży do samoukarania się i to z reguły poprzez chorobę. Człowiek wolny od negatywnych, chorobotwórczych czynników, staje się nie tylko zdrowszym, inteligentniejszym, ale również moralnie i duchowo bardziej rozwiniętym.

STANISŁAW KWASIK